Rok I. Kraków 15 Sierpnia 1893. Nr 16.

NOWY DZWONEK

Czasopismo ludowe

wychodzi dnia 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi:
w **Galicyi** rocznie: **4** złr.
półrocznie: **2** złr.
kwartalnie: **1** złr.

W Niemczech rocznie: **8** mk.
W Ameryce rocznie: **2** dolary.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka,* **Kraków,** ul. Pijarska l. 5.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

O poszanowaniu należnem kapłanom.

(Ciąg dalszy).

W Nowym Testamencie Jezus Chrystus objawił, że wszelką cześć, lub też odwrotnie, wszelką zniewagę Jego Apostołom i ich następcom okazaną, uważa jako wyrządzoną i okazaną Jemu samemu, mówiąc: »Kto was słucha, mnie słucha, a kto wami gardzi, mną gardzi. A kto gardzi mną, gardzi Onym, który mię posłał« (św. Łuk. X. 16).

Pierwsi chrześcijanie mieli w wielkiej miłości Apostołów, i najgorętszy brali udział w ich losie. Gdy św. Piotr siedział w więzieniu, o jakże wtedy gorliwie modliło się zgromadzenie wiernych w Jeruzalem, i jak się radowało, gdy wyszedł z więzienia!

Konstytucye Apostolskie nazywają kapłanów: prorokami, książętami, wodzami, pośrednikami między Bogiem a wiernymi. Te wszystkie nazwy świadczą, w jak wysokiem poważaniu znajdowali się kapłani u ludu.

Senator rzymski Kajus zwykł był kapłanowi Gabinusowi nogi całować. Królowie, za zbliżeniem się kapłanów, zstępowali z tronu, wychodzili na ich spotkanie, całowali im ręce, i z najgłębszem pokłonem prosili ich o błogosławieństwo.

Cesarze Honoryusz i Walentynian wyrazili się w swym reskrypcie, że: »imię kapłana ma być wymieniane z uszanowaniem, a cały świat winien schylać przed nim głowę. (Św. Ambroż. de dignit. sacerd.). Drugi sobór w Macon, we Francyi postanowił w roku 585 za zgodą króla Guntrama, że gdy świecki człowiek spotka się z duchownym, a obaj jechać będą konno, świecki po-

winien odkryć głowę. Jeśliby zaś duchowny szedł pieszo, świecki powinien zsiąść z konia i powitać go z uszanowaniem.

Na soborze w Nicei w r. 325 złożono cesarzowi Konstantemu Wielkiemu liczne skargi na kapłanów. Monarcha ten nie otwierał żadnej, ale zebrał wszystkie w jeden plik, a zapieczętował swym sygnetem i wrzucił w ogień, mówiąc do obecnych: »Duchowni są tak słabi ludzie jak i my, a **ich wady nie powinny być rozgłaszane,** gdyż ztąd dużo złego wynika«. Tenże sam cesarz zapewniał, iż gdyby spotkał kapłana źle czyniącego, tedy okryłby go swym płaszczem cesarskim przed oczami ludu.

Inny cesarz wschodni, Bazyli, dając przestrogi synowi swemu, tak do niego mówił: »Cześć, jaką oddajemy kapłanom, odnosi się do samego Boga. Ponieważ, jak moją wolą jest, aby lud szanował moich ministrów, nie wchodząc w prywatne ich życie, bo szanując ich, mnie szanuje; tak też jest wolą Pana Boga, aby Jego kapłani byli szanowani dla Niego samego«. (Lohner, t. 3—961).

Nie było nic przykrzejszego i boleśniejszego dla św. Daniela Stylity, czyli Słupnika[1]), jak gdy słyszał zażalenia i skargi na Biskupów, kapłanów lub innych duchownych. Jeżeli uskarżano się na niedostateczność ich nauk, radził, aby modlić się do Pana Boga o oświecenie kapłana. Jeżeli skargi dotyczyły moralnego sprawowania się osoby duchownej, nie mógł ukryć swego niezadowolenia z takiej skargi i prawił z powagą: »Jeżeli tak jest, jak powiadacie, módlcie się za niego, a zresztą strofowanie i ukaranie jego pozostawcie tym, którym Bóg powierzył rządy Kościoła«.

O jak odmiennie postępuje wielu w naszych czasach, którzy w rozgłaszaniu i powiększaniu błędów i ułomności osób duchownych znajdują przyjemność i zaspokajają swą osobistą zemstę!

Za czasów św. Jana Złotoustego, podobnie jak za dni naszych, chociaż w mniejszej niż dzisiaj liczbie, znajdowali się już chrześcijanie, którzy zamiast szanować i słuchać sług Bożych, okazywali im niewdzięczność i nieuszanowanie. Święty ów Biskup wyrzucał im to surowo i mówił: »Niewdzięczni! takież jest wasze podziękowanie za posługi, jakie wam kapłani Pańscy wyświadczają? Czyliż nie przez rękę kapłana w Chrzcie świętym odrodzeni jesteście? Czyliż nie z jego urzędu otrzymaliście odpuszczenie grzechów waszych? Czyliż nie za was składa on ofiarę, która was czyni uczestnikami Ciała i Krwi Chrystusa Pana? Iżaliż nie kapłan was uczy? czyż nie kapłan udziela słowa Bożego dziatkom

[1]) Żył w V-tym wieku i nazywał się Słupnikiem, ponieważ naśladował sposób życia św. Szymona Słupnika, i na słupie w bliskości morza Czarnego, P. Bogu służył.

waszym, za was się modli i wam niebo otwiera?« (Św. Jan Chryzostom hom. 2 in 2 Tim.).

Chociażby tedy kapłan był rzeczywiście nie na swojem miejscu, to i wtedy szanować go i nauki jego słuchać należy, ponieważ on Chrystusa Pana na sobie nosi.

Św. Brygidzie objawił Pan Jezus, że Mu największą przykrość wyrządzają ci, którzy nie szanują pomazańca Jego. Bo chociaż znajdują się między nimi źli, to jednak kto i takimi gardzi, kto i takich sławę szarpie, ten żadnego kapłana przy śmierci mieć nie będzie, ponieważ ogólnie do wszystkich kapłanów powiedziano: »Kto was słucha, mnie słucha, kto wami gardzi, mną gardzi«. *Dokończenie nastąpi.*

Dom rodzinny — to pierwsza szkoła.

Przychodząc na ten świat dziecię, nie posiada żadnych wiadomości, ani żadnego poznania tak dobrego jak złego, dopiero w miarę jak jego siły cielesne i narządy się rozwijają, nabiera jego umysł przy pomocy zmysłów stopniowej wiedzy o świecie i ludziach, co powoduje rozwój jego duszy.

Kierowanie rozwojem duszy czyli duchowym dziecka nazywamy wychowaniem, od którego zależy cała przyszłość i wartość każdego człowieka. Duszę dziecka w pierwszej chwili jego życia porównać możemy zupełnie słusznie do czystej księgi, na której kartkach jeszcze wszystko da się wypisać, lecz czego później nigdy nie zdoła żadna ręka zatrzeć, a zawartość tej księgi zależeć będzie od tego, co zostało wyciśnięte na jej białych kartkach.

Pierwsze wiadomości i wrażenia wyciśnięte na pierwszych kartkach tej białej, niczem jeszcze nieskalanej księgi - duszy, będą stanowiły pierwszą podwalinę dla wad i cnót człowieka. Pierwsze wrażenia tak oddziaływają silnie na umysł dziecka, iż one pozostają jego własnością przez całe późniejsze życie, a nawet u progu nie opuszczają zgrzybiałego starca.

Wiemy bowiem, a co nieraz się nam już słyszeć zdarzyło, że ludzie bardzo wiekowi dokładnie potrafią opowiadać o czynach i dziejach swej młodości, a trudniej to już im idzie z temi sprawami, które odnoszą się do lat późniejszych.

Skoro pierwsze wiadomości i wrażenia tak są silne i ważne, jasną jest rzeczą, iż potrzeba, aby były tylko dobre. Tej pierwszej wiedzy, która ma człowiekowi później przewodniczyć przez całe życie, nabiera dziecię nie gdzieindziej, jak w domu rodzinnym. Dom rodzinny jest tedy tą pierwszą szkołą dla każdego czło-

wieka, z niej tedy winien wynieść taką naukę, którąby zdołała z niego zrobić prawego i szlachetnego mieszkańca tej ziemi.

Dom rodzinny — to pierwsza szkoła, w której dziecię-człowiek pobiera naukę o świecie i ludziach, tu poznaje się najpierw z dobrem lub złem, a od tego zależeć będzie później i cała jego wartość i przyszłość!

Skoro dom rodzinny jest dla dziecka pierwszą szkołą, to z porządku rzeczy wynika, że kierownikami jej muszą być przedewszystkiem najgłówniejsze jej osoby, a temi są: ojciec i matka, jednem słowem rodzice.

Wszyscy rodzice pragną mieć dobre dzieci i widzieć je szczęśliwemi, ale jakże mało jest ich prawdziwie tego sobie życzących, bo samo życzenie pozostanie na zawsze tylko życzeniem, jeśli do tego ze swej strony nie dołożą rozumnej pracy, kierowanej miłością rodzicielską. Tutaj na ziemi tak się ma rzecz, że jeśli człowiek chce mieć z czego jaki pożytek, to musi koniecznie ponosić pewne trudy, gdyż samo z siebie nic się nie zrobi. A jeśli Najwyższy Bóg poruczył rodzicom, aby jego dzieło t. j. dziecię pod ich opieką i starannością z czasem stało się dojrzałym człowiekiem, na chwałę Bożą a pożytek dobrych ludzi, to właśnie w tej myśli, aby nad niem pracowali i czuwali ze wszystkich sił swoich, a wtedy dopiero zadość uczynią tylko swym obowiązkom.

Ponieważ umysł dziecka jest bardzo wrażliwy i na wszystko pilnie zwraca swą uwagę, co około niego się dzieje, przeto obowiązkiem rodziców, jego pierwszych nauczycieli, jest pamiętać o tem, aby w tej pierwszej szkole wszystko odbywało się wzorowo i przykładnie.

Z powyższego wynika, że życie i prowadzenie się samych rodziców powinno być chwalebne i zgodne z prawami Bożemi. Sami ze sobą mają dni swego żywota prowadzić w pełnej zgodzie i miłości, pomagać sobie z uprzejmością w pracy i w znoszeniu trudów na tym świecie, w razie jakiego niespodziewanego wypadku wzajemnie się pocieszać, a nigdy nie składać przyczyny jedno na drugie; w razie gniewu, bez którego nie masz człowieka, jedno drugiemu powinno ustąpić, a nigdy go nie podniecać, gdyż to może doprowadzić tylko do bardzo złych następstw, których tak łatwym sposobem można uniknąć. Ale ileżto razy można napotkać na takie rodziny, które ze sobą ciągle się wadzą, a co gorsza, nawet na się podnoszą ręce, a na to wszystko patrzy z zakątka ich własne dziecię, i ono ma mieć z tego dobrą naukę na przyszłość i przyzwyczaić się do życia zgodnego i szanowania drugich!?

Oddawna powiadają ludzie, jaka szkoła, taki naród, my zaś

powiemy, jakie rodziny, takiemi są i ich własne dzieci, które jako ludzie dojrzali, w przyszłości mają tworzyć naród.

Chcąc tedy, aby przyszły nasz naród stał na wyższym stopniu nauki, dobra i postępu, zależy to właśnie od urządzenia dobrego tej pierwszej szkoły, a nią jest właśnie dom rodzinny.

Im więcej tedy będziemy mieli dobrych, przykładnych rodzin, tem więcej będzie zacnych obywateli, tem dzielniejszy staje się naród, tem wcześniej spodziewać się możemy dobrobytu i poszanowania u obcych narodów.

Jak się powodzi wychodźcom polskim w Brazylii.

O wychodźctwie do Brazylii niejeden z wieśniaków marzy, sądząc, że tam znajdzie raj prawdziwy. Tymczasem wychodźców spotyka w Brazylii smutne i bolesne rozczarowanie, jak o tem świadczy list umieszczony niedawno w gazetach warszawskich, a pisany przez wychodźcę Andrzeja Kordyjasza do jego brata Marcina w Giżycach, w gubernii kaliskiej.

List ten tak opiewa:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Pozdrawiam cię kochany bracie z żoną i dziećmi i życzę najlepszego szczęścia i donoszę o swojem powodzeniu, jesteśmy zdrowi z łaski Boga Najwyższego, czego i wam z całego serca życzymy. Przepraszam cię kochany bracie, żem tak długo nie pisał, bo niemogłem; bośmy byli bardzo w dalekich pustyniach, gdzie nie było poczty. Jak my wyjechali z miasta Ostrowa, tak my zajechali do portu szczęśliwie i czekaliśmy na okręt do 10 października w Bremie i życie nam dali darmo; dziesiątego października wsiedliśmy na okręt, nazwiskiem Sztutgard i zajechaliśmy na Wszystkich Świętych do Brazylii miasta stołecznego Rio-Janerio.

Podróż na morzu jest bardzo niedobra, jechaliśmy ośmnaście dni i i nocy bez żadnego ustanku zdało się, że nie wytrzymamy, bo jak przejeżdżali równik, to gorączki okropne tak, że przez parę dni to ciężko było wytrzymać; małych dzieci dużo poumierało i przytem burze okropne, okręt tak wielki, bo przeszło na trzy tysiące osób, tak się bujał jak by tylko łupinę orzecha rzucił, okręt mało co wolniej idzie od kolei.

W Rio-Janerio byliśmy na emigranckim domu cztery dni i wyjechaliśmy do prowincyi Rio-Grando do Zul. Wsiedliśmy na okręt brazylijskim nazwiskiem *planeta* i jechaliśmy cztery dni i nocy i zajechali do Rio-Grando do Zul i już się morze skończyło, tylko jakaś odnoga morska, i tą odnogą zaczęliśmy jechać i tam spotkało nas nieszczęście tak, że trudno do opisania, bo woda była

zamała i zawięzgliśmy i stali dziesięć dni; jedzenia nie było wcale, bo tylko wzięli na parę dni, więc był wielki głód i nie było wody tylko morska i małe dzieci się zatruły i poumierały prawie wszystkie, i starzy zaczęli chorować tak, że był wielki jęk i płacz i zdało się, że już nie będzie żadnego ratunku i musimy wszyscy poumierać: jedni się modlili, drudzy przeklinali, inni płakali i tak się zdało, że godzina to rokiem, ale jednak Pan Bóg miłosierny zmiłował się nad nami, niechciał zatracić nas wszystkich, więc w końcu zrobił się wielki rozruch zamięszanie pomiędzy narodem i chcieli kapitana okrętu zabić, mówią: mamy wszyscy tak marnie poginąć, to niech i on zginie, i zaraz się postarał i przyszły inne statki i dopierośmy poprzesiadali i pojechali do Porto-Alegro, ale już każdy prawie na pół umarły, bo i nasz Mundzio tam marnie zginął można powiedzieć, że męczeńską śmiercią umarł.

Nie będę wam tego nieszczęścia opisywał, bo trudno do opisania, i na samo wspomnienie to serce z żalu się kraje i mówię wam, żebym nie życzył najgorszemu nieprzyjacielowi. Przy pomocy Boskiej to się niezadługo zobaczymy, to wam wszystko opowiem. Tak nas zawieźli do Porto-Alegro miasta gubernialnego tej prowincyi i tam my byli siedm tygodni, bo było bardzo dużo emigrantów i nie mogli ich prędko ulokować, i zapisaliśmy się na kolonie Sankt- Felicyano; tu my już jechali karetami we woły, po cztery pary wołów u jednej karety, a karety o dwóch kołach wielkich; pokryte skórą i takeśmy jechali jeszcze dziesięć dni po samych pustyniach i górach, bo w Brazylii to są same tylko góry pod niebiosy i kamienie, i to też jazda była piekielna, bo te Brazylianie na koniach z wielkimi drągami tak gnali te woły po tych pustyniach i górach i zawieźli nas do wielkiego lasu i tam nas zrzucili, bo już karety nie mogły dalej jechać, a potem na mułach w koszykach popakowali bagaże i dzieci i tak pół dnia byliśmy na miejscu.

Do okoła las, a w środku gołe góry pokryte trawą i postawili szopę i mieszkali tak długo, dokąd nam nie dali kolonij, na nasze naznaczone miejsce zajechaliśmy 2 stycznia, a na kolonie wyjechaliśmy 15 września, a przez te miesiące chodziłem na robotę rządową co robili drogi po liniach, co rozdawali kolonie i płacili nam dwa milorarajsy dziennie i to nie pieniędzmi tylko kartami i te karty brali tylko w magazynach na Felicijanowie. Milorajs znaczy pół rubla, kolonie nam dali każdemu za numerem i to może włóka, albo więcej ograniczony, ziemia dobra i mocna, ale co z tego, same góry wielkie drzewem grubem i cieńkiem porosłe, gęstwina taka, że ani na krok nie wnijdzie jakieś same kolce poplątane linami do kupy wszystko trzcina jedna na drugiej też taka wysoka jak to drzewo.

Drzewo wszystko krzywe na nic nie zdatne tylko na ogień, i to drzewo wcale nam nieznane i tak my rąbali ten las i trochę podeschło, a potem się zapaliło i spaliło się to cienkie i ta trzcina tylko zostało grube i sadziliśmy kukurydzę, szablak, kartofle i kapustę i dosyć się rodziło. Kukurydza najlepiej się rodzi i chleb można jeść i wszystko prawie żyje kukurydzą. Kury, świnie, konie, bydło i wszystko się bardzo pasie i ja miałem postawiony barak: mieliśmy świnie, kozy, kury i nam było już nieźle: ale to wszystko na nic musieliśmy z kolonii wyjechać, bo tak po pierwsze było od miasta bardzo daleko, pieniędzy grosza nigdy nikt nie zobaczył.

Roboty już się zakończyły i trzeba chodzić nago i jeść bez soli, bo niema za co kupić, po drugie, że niema tu żadnej wiary, żyć jak poganin i umierać bez spowiedzi, bez żadnych obrzędów religijnych; wiara w Brazylii jest katolicka, ale oni wcale jej nie zachowują, bo nie mają ani święta, ani niedzieli, ani postu, ani pacierza nie mówią, ani ślubu nie biorą, tylko tak żyją jak poganie, kościoły i księża są tylko po miastach, a miasto od miasta to o parę set mil, ale chociaż i w mieście to też wszystko jedno, ksiądz o ludzi nie dba, a ludzie o księdza w Brazylii.

Jest tu republika, nie ma żadnego porządku: kto mocniejszy to lepszy, jeden drugiego zabije i pójdzie za drugą górę i już nikt mu nic nie zrobi i w kraju ciągle jest zamieszanie, niema spokoju; na swojej kolonii to my byli półtora roku; przyjechał do nas polski ksiądz i był dziesięć miesięcy, postawiliśmy kaplicę i nam było bardzo wesoło, ale to nie na długi czas, bo Biskup brazylijski księdza wygnał (?) powiedział kiedy Polaki przyjechali do Brazylii, to muszą się trzymać prawa krajowego i trzeba pracować, nie do kościoła chodzić i modlić się. Jak odjeżdżał to płakał jak małe dziecko, że blisko na dwieście tysięcy katolików i niema ani jednego księdza polskiego i tyle dusz musi marnie ginąć. Oj to smutne pożegnanie, ale musiał wyjechać, bo by go byli zabili. A nas kilkanaście familij się zebrało i powędrowaliśmy w drogę do miasta Pilotas, jechali dwa tygodnie i z Pilotas okrętem dziewięć dni do miasta Santos.

Przyjechaliśmy w listopadzie i jest nam nie najgorzej, bo zarobki są, budują port; wiele więc tysięcy ludzi pracuje; ludzie są z rozmaitych krajów i wciąż przyjeżdżają emigranty: Hiszpany, Portugale, tylko z królestwa już nie biorą; tak zarobki są to prawda, ale to wszystko człowieka nic nie cieszy, bo są okropne gorączki tak, że ciężko wytrzymać i jest choroba zaraźliwa tak, że ludzie na ulicy padają, więc my prosimy Pana Boga, abym mógł zarobić na drogę i wyjeżdżać do kraju; więc Pan Bóg da zdrowie i dłuższe życie to na lipca albo sierpnia nas się spodzie-

wajcie z pewnością i chciałbym jechać tą samą drogą, i proszę cię kochany bracie odpisz jak najprędzej, jak ja się mam przeprawiać i abyś mi dopomógł, a ja ci się za to odwdzięczę, a ja w którym miesiącu będę miał przyjechać to będę pisał, tego wszystkiego nie jestem wstanie wam opisać, jak źle jest w Brazylii. Kończę ten list i pozdrawiam cię ze swoją żoną i Stasiem i ściskam serdecznie bratowę i dzieci, i proszę odpisz jak najprędzej. Adres: Brazylia P. Sao Paulo Cidado Santos, *Andrzej Kordyjasz.*

Smutna igraszka.

Wielu ludzi, mianowicie młodzieży, lubi robić nierozsądne zakłady, które to niby świadczyć mają o ich dzielności, wytrzymałości, odwadze i t. d., a w rzeczywistości są świadectwem wielkiej lekkomyślności; bo człowiek prawdziwie odważny nigdy się niepotrzebnie nie naraża, ale za to, gdy rzeczywista zajdzie potrzeba, przed największem niebezpieczeństwem się nie cofnie, podczas gdy ci, co się to z odwagą lubią popisywać, przy lada sposobności najpewniej stchórzą. A co gorsza, że owe lekkomyślne, nierozsądne zakłady kończą się zwykle bardzo smutno.

Jeden taki wypadek, opowiadany przez dzielnego kapitana, pragnę tu powtórzyć dla nauki takich niby bohaterów, lubujących się w niemądrych zakładach.

Było to na wsi, wśród lata, ale burza z grzmotem i piorunami szalała na dworze. Zebraliśmy się tedy wszyscy w wielkim salonie, a że towarzystwo było dobrane i liczne, przeto to, co się na dworze działo nie bardzo nas obchodziło. Aby zaś jak najdalej usunąć się od szalejącej nawałnicy, pozamykaliśmy okna, pospuszczali story i obsiadłszy wielki stół do koła, gawędziliśmy przy kieliszku.

Jednakże od czasu do czasu wycie wichru, szum drzew tuż za oknami, huk grzmotu i trzask piorunów, głuszyły i przerywały naszą rozmowę.

Z razu gawędka nasza była wesoła, bo wszyscy zabawne i dowcipne opowiadali anegdotki i dykteryjki. Najweselsze przecież opowiadał stary kapitan, z rumianem obliczem, gęstym siwym włosem i ogromnym wąsem.

W miarę przecież, jak burza stawała się gwałtowniejszą, a wicher z wściekłością wstrząsał oknami, jak gdyby go gniewała nasza wesołość i opowiadania zaczęły przybierać posępniejszą barwę, pan kapitan już się nie śmiał i nie żartował, a nawet, jak zauważyłem, jakby z trwogą oglądał się na okna.

W towarzystwie naszem był też młody człowiek, znany ze

— Przyjaciel mój udał się do swego mieszkania, a my wezwaliśmy gospodarza, któremu przedłożyliśmy nasz projekt. Pierwszy, który ów nieszczęśliwy projekt podał, był ów kolega, wybierający się na drugi dzień na cmentarz; gospodarz zawahał się chwilkę, ale my, szaleni! byliśmy wszyscy w tak wesołych humorach, że wśród śmiechu przyjęliśmy projekt kolegi i nakłonili gospodarza, że się zgodził wszystko przygotować. Czasu mieliśmy dość, bo aż pięć godzin. Niebawem nadszedł nasz ulubieniec; pistolet położył na boku i zasiedliśmy wszyscy do stołu. Kolacya była bardzo wesoła, bawiliśmy się doskonale, mnie tylko raz po raz ogarniał niepokój i czasem przejmowała trwoga. Ale w miarę przeciągającej się zabawy i spełnionych różnych toastów i mnie humor się naprawił. Nie pamiętam w życiu weselszej biesiady. Po dziesiątej nadszedł gospodarz z kluczem, który za małem wynagrodzeniem uzyskał od kościelnego; lecz podając klucz naszemu przyjacielowi rzekł:

— Ale nie wiem, czy pan wiesz, że tam w trupiarni leży rzeczywiście nieboszczyk?

— Owszem wiem, już mi tu któryś z kolegów wspominał.

— A potem — mówił znowu gospodarz — powinienem też pana uprzedzić, co tu sobie ludzie opowiadają o klasztorze i trupiarni.

— Tu zaczął opowiadać straszne historye o duchach, widmach, pokutujących zakonnikach i tam dalej. Nasz kolega słuchał wszystkiego z niedowierzającym uśmiechem, a skoro jedenasta się zbliżyła rzekł:

— Wszystko to są głupstwa i urojenia bojaźliwych lub przesądnych ludzi. Na mnie to nie robi żadnego wrażenia, niepotrzebnie trudziłeś się pan opowiadaniem. Chodźmy panowie, bo mnie przecie odprowadzicie?

— A naturalnie! — zawołaliśmy jednogłośnie. Jeden wziął klucz, drugi pistolet przyjaciela i ruszyliśmy ku klasztorowi.

— Ja szedłem tuż przy moim kochanym koledze — opowiadał kapitan coraz smutniejszym głosem — i rzekłem ściskając mu rękę:

— Wiesz, Jasiu (bo takie mu było imię) daj ty lepiej pokój tej całej wyprawie. Wszyscy wiemy, żeś odważny, boś dał tego dowody. Po co to dopiero wyzywać takie rzeczy, które...

— Ale gadasz, co ci w głowie? — zawołał Jaś oburzony. — Ja się teraz mam wracać? Ani myślę; duchów się nie boję, a na żywych mam broń.

— Ach! czemuż nie chciał słuchać głosu przyjaźni! Tymczasem zbliżyliśmy się ku klasztorowi. Deszcz lał jak z cebra, ciemno było jak w miechu. Przez wysokie okna kościoła migo-

tała niepewnem światłem wieczna lampa przed Wielkim Ołtarzem. Tuż przy kościele stała trupiarnia, przytulona do muru, za którym był ogród kościelnego. Otworzyliśmy trupiarnią i weszli. Była ciemna, ponura i zimna izba. Na środku, w trumnie leżał umarły, w czarne czechło ubrany, żółty jak wosk; u nóg jego migotało słabe światełko maleńkiej lampki, w głowach stał krucyfiks i kociołek ze święconą wodą. Światło lampki nie zdołało dostatecznie rozprószyć ciemności tej strasznej jamy, więc spytaliśmy Jasia czy nie chce świecy lub książki.

— Nic, nic — odpowiedział. — Spać mi się chce, idźcież sobie. Do drugiej się wydrzemię i wrócę do was, do widzenia.

— Ociągałem się z opuszczeniem trupiarni, tak mi się jakoś serce ścisnęło, nie chciałem Jasia zostawić samego, ale koledzy pociągli mnie za sobą. Drzwi się za nami zamknęły, a nasz przyjaciel pozostał sam z nieboszczykiem. Jaś siadł na jakiejś skrzyni pod ścianą, bokiem do umarłego, podparł głowę na ręku i przymknął oczy. Siedział tak może z kwadrans, gdy nagle odezwało się ciche skrobanie. Nasz ulubieniec zwrócił prędko głowę ku trupowi, ale ten leżał spokojnie, bez ruchu.

— Zdawało mi się! — szepnął Jaś i przymknął znowu oczy, ale teraz rozległ się przy trumnie głośny łoskot. Jaś się zerwał i podbiegł do trumny, stanął nad trupem wpatrując się w niego. Stał może kwadrans, ale teraz panował zupełny spokój. Stanie snadź zmęczyło mego przyjaciela, bo odszedł znowu od skrzyni, ale siadł twarzą do trupa i oka zeń nie spuszczał. Minął znowu kwadrans i zegar na kościelnej wieży zaczął bić dwunastą. Jeszcze nie przebrzmiało ostatnie uderzenie godziny, gdy naraz trup się wolno poruszył. Jaś wstał. Nieboszczyk tymczasem podnosił się pomału w trumnie, otworzył oczy i wyszczerzył zęby na Jasia. Nasz kolega przetarł ręką oczy, a nieboszczyk jął się śmiać przeciągłym, przeraźliwym głosem.

— Do krocset milionów bomb! — zawołał Jaś i wziąwszy pistolet w rękę, dodał jakimś drżącym, gorączkowym głosem. — Jesteś nieboszczyk, a ruszasz się, wyszczerzasz zęby i śmiejesz się, oto masz, będziesz teraz leżał spokojnie?

— Domawiając ostatnich słów wycelował, bęc! Zagrzmiało w trupiarni napełnionej dymem, ale gdy ten opadł, spostrzegł Jaś, że trup wciąż siedzi, zęby szczerzy i śmieje się, a teraz schwycił wystrzeloną kulę i rzucił ją na Jasia. Nieszczęśliwy mój przyjaciel stanął, jak piorunem rażony, potem z przeraźliwym krzykiem padł na ziemię.

— My tymczasem siedzieliśmy przy kieliszkach, a koledzy śmiali się trochę z mego niepokoju o Jasia. Gdy zegar uderzył

zuchwalstwa i lekkomyślności; ten, w toku rozmowy, jął się przechwalać, że nie ma takiej rzeczy na świecie, której onby się lękał.

— Nie boję się śmierci — mówił pokręcając rzadki wąsik — drwię sobie z djabła, a z duchami gdyby tylko było, radbym się zapoznał.

— Kto wie, czyby się smutnie ta znajomość dla pana nie skończyła — rzekł jeden z gości, a gospodarz domu dodał:

— Ja nawet sądzę, że gdyby na seryo miało przyjść do tej znajomości, cofnąłbyś się pan w porę.

— Co? Nie wierzycie panowie? Aby was przekonać, gotów jestem pójść do kostnicy, tu przy wiejskim kościółku, i całą noc przepędzić samotnie, to jest, jeżeliby żaden duch do mnie nie przyszedł.

Na te słowa kapitan zbladł, spojrzał znowu ku oknu, do którego wiatr z deszczem kołatał i rzekł poważnie:

— Mój młody panie, nie trzeba nigdy wywoływać wilka z lasu i lekkomyślnie szukać guza! Opowiem panu zdarzenie z mojego życia o podobnem bohaterstwie, do jakiego pan masz ochotę.

Całe towarzystwo się poruszyło i przysuwając krzesła bliżej starego kapitana, który pokręciwszy sumiastego wąsa, westchnął z cicha i tak zaczął mówić;

— Byłem wtedy jeszcze młodym porucznikiem i stałem z moim pułkiem w mieście R. Nie wielka to była mieścina, a całą jej osobliwością był stary, opuszczony klasztor. Pewnego wieczora, a był to wieczór taki sam jak dziś, wicher wył za oknem, tylko, że to było w ponurej jesieni, deszcz lał strumieniami i ciemność panowała straszliwa. Otóż w taki to wieczór siedziałem w towarzystwie kilku kolegów przy kieliszku, w takiem wesołem usposobieniu, w którem człowiek skłonny jest do rozmaitych żartów i figli. Jeden z naszego grona odezwał się, że spałby chętnie na cmentarzu pod klasztorną ścianą.

— Pod ścianą! To fraszka! — zawołał drugi kolega, ulubieniec całego pułku, żołnierzy i oficerów; chłopak rzeczywiście dzielny, piękny i wesoły jak rzadko. — Jabym poszedł na całą noc do klasztoru. Albo jeśli chcecie nawet do trupiarni.

— A dobrze, zgoda! — zawołał trzeci z kolegów.

— Trzymam cię za słowo! — dodał ten, który pierwszy chciał iść spać pod klasztor. — W trupiarni leży podobno właśnie nieboszczyk, którego mają jutro pochować. Przepędzisz tam noc przy nim?

— A naturalnie! — odparł nasz ulubieniec i śmiał się wesoło.

— A jak uciekniesz ze strachu? — pytał znowu pierwszy.

— No to się załóżmy koledzy! Kto się ze mną chce założyć

i o co, że z trupiarni nie ucieknę, choćby się tam wszyscy nieboszczykowie zeszli na powitanie.

— Ja, ja, ja — zaczęto wołać ze wszystkich stron.

— I ja stary osioł też należałem do tego zakładu — mówił ponuro kapitan. — Dziś jeszcze przeklinam tę chwilę. Był to najgłupszy, najbrzydszy postępek w mojem życiu, słowo honoru, najbrzydszy! Nigdy go sobie nie daruję, tem więcej, że naszego bohatera kochałem serdecznie, był to mój najserdeczniejszy przyjaciel.

— Ale o cóż zakład? — wołali inni.

— O koszyk szampana! — wykrzyknął jeden.

— Dobrze! — rzekł mój przyjaciel. — Jak ja ucieknę dam dziesięć butelek; ale jak się nie ulęknę, każdy z was tu obecnych da tyle pieniędzy, ile dziesięć butelek tego wina kosztuje. Za zebrane pieniądze kupimy dziesięć butelek szampana i nim będziecie pić me zdrowie, a resztę pieniędzy oddamy na ubogich miasteczka.

— Brawo! Brawo! Brawo! — zagrzmiało w całym pokoju, a niektórzy dodawali.

— Nasz kochany kolega zawsze musi być sobą! Nawet wtenczas, gdy pałkę zaleje!

— Rzeczywiście, mój drogi przyjaciel — mówił kapitan smutno — nawet w tym lekkomyślnym zakładzie okazał swoją szlachetność i dobre serce, za które go tak wszyscy kochali.

— Jeden wszakże kładę warunek, a raczej dwa — rzekł teraz nasz ulubieniec — najpierw, że nie pójdę zaraz teraz; toć to dopiero szósta, nudziłbym się cały wieczór; więc zjem z wami kolacyę, pobawimy się, i około dziesiątej powędruję do trupiarni.

— Zgoda, zgoda! — zawołaliśmy, a ten kolega, który pierwszy udawał zucha, dodał:

— Nawet dosyć będzie, jak o jedenastej pójdziesz; i nie potrzebujesz siedzieć dłużej, aż do drugiej po północy, jeżeli prędzej nie dasz drapaka.

— Nie bój się! — rzekł mój przyjaciel. — Ja pójdę dziś do trupiarni i nie ucieknę, ale ty pójdziesz też jutro pod mur klasztorny, jak obiecałeś i zobaczymy co się stanie.

— A jakiż drugi warunek? — spytałem, aby przerwać rozmowę dwóch kolegów, która zdawała się zmieniać w sprzeczkę.

— Drugi warunek, że wezmę ze sobą broń nabitą i gdyby mi nieboszczyk zagrażał, strzelę do niego.

— Zgoda na wszystko — zawołaliśmy chórem.

— Teraz pójdę po mój pistolet — rzekł nasz kochany kolega — a wy się postarajcie o klucze od trupiarni. Nasz gospodarz pewnie to załatwi najlepiej.

wiesz nam jak się to później odmieniło i dlaczego. Ależ i to nam powiedz, co tam za bogów mieli Polacy?

Stanisł. Polacy i inni Słowianie mieli bogów wedle swojej wyobraźni dość licznych, choć nie tyle co Grecy albo Rzymianie. Czcili Białoboga, jako początek dobrego i Czarnoboga, którego się obawiali, jako początku złego. Trzygłów czyli Światowid, był bogiem wojen i wróżby, Dziedzilia błogosławiła małżeństwa, Łada pomagała w zarządzie domu. Lelum-Polelum słotą rozmaczał rolę, a Swistum-Poświstum z wody osuszał.

Bartłom. A to zabawnie, każdego takiego boga nazwisko już oznaczało, czego się po nim spodziewano. Więc jeszcze za czasów Piasta czczono te bogi?

Stanisł. Tak jest, ale już natenczas z zachodu, święty Cyryl i Metody, podróżowali po krajach słowiańskich i słowem swojem dobroduszne te narody przygotowywali do chrześcijaństwa. Domyślają się ci, co badali historyą, że to oni byli tymi nieznanemi młodzieńcami w chacie Piasta i oni go nakłonili, aby przyjął koronę.

Ciąg dalszy nastąpi.

O skowronku.

(Dokończenie).

Zabawne są kąpiele skowronka i ciekawe wychowanie dzieci. Ostremi pazurkami drapie on ziemię, a gdy się utworzy kupka pyłu, siada w nim, trzepie skrzydełkami i tarza się, potem trzepie pierze i układa piórka. Skowronek woli, gdy powietrze jest suche, wilgoci nie lubi i smuci się w czasie słoty, nie śpiewa wówczas i nie lata w powietrzu.

Wychowanie piskląt odbywa się inaczej niż u innych ptaków. Małe bowiem skowronki jeszcze z mchem na główkach, z krótkiemi ogonkami i skrzydełkami, a już z gniazda wyłażą. Rozchodzą się każde osobno po zbożach i trawach, piszcząc żałośnie za pożywieniem. Czuli rodzice wiedzą gdzie każda dziecina, więc jej pokarm donoszą. Uczą je chodzić, szukać robaczków, wyciągać skrzydełka, podnosić się do lotu i żyć samotnie. Potem nie zajmują się już niemi i tem samem zmuszają, aby za młodu już same starały się o pożywienie. Skowronczęta dają sobie radę i wszystkieby się wychowały, gdyby nie słoty nawiedzające je głodem i zalaniem wodą.

Pożycie skowronków-rodziców jest przykładne. Skowronkowa jest zacną matką. Siedzi na jajkach z nadzwyczajną pilnością i zaparciem siebie, przytem swobodna, wesoła i kocha swe dziatki. Skowronek jest także czuły i uznający zasługi swej towarzyszki.

Co chwila donosi jej muszkę, robaczka lub ziarneczko. Przybiegając powabi pieszczotliwie, i znowu wzbije się w powietrze. Zlatując po chwili nie spuszcza się wprost na gniazdko, ale spada opodal i potem biegnie ku gniazdku; a to dla tego, aby jaki nieprzyjaciel nie wyśledził jego gniazdka. A ma on tych nieprzyjaciół dosyć. Nietylko bowiem złośliwi chłopcy psują mu szczęście rodzinne, zabierając jajka z gniazdka lub młode skowronczęta, ale polują też na niego różne ptaki drapieżne jak n. p. jastrzębie, krogulce i kruki, a także kuny, tchórze, łasice i lisy. We Włoszech zaś, w Niemczech i we Francyi ludzie milionami łowią tych biedaków i zjadają.

Wstyd to prawdziwy i hańba dla takich ludzi, którzy nie zadowalniają się mięsem zwierząt domowych i dzikich, lecz polują na tak miłe ptaszęta, któremi się przecież nie nasycą.

O naszym ludzie polskim, tego, dzięki Bogu, powiedzieć nie można. Znajdują się wprawdzie tu i owdzie, jakeśmy wspomnieli, psotnicy bez serca, którzy skowronkom robią wielką krzywdę, ale wogóle lud polski otacza skowronka opieką i wierzy, że skowronek przynosi błogosławieństwo tej roli, gdzie się gnieździ i śpiewa.

W niektórych okolicach naszych nazywają skowronka śpiewakiem Matki Boskiej, bo miał ją cieszyć swym śpiewem w bolesnych chwilach jej życia ziemskiego, i dlatego kocha go i nie lubi robić mu krzywdy.

Ciekawem jest jak sobie lud nasz tłumaczy śpiew tej ptaszyny. Skowronki, mówią wieśniacy, broją jak i ludzie, gdy im dobrze, szczególnie w lecie, skowronek rozbryka się często i swawoli, bo mu ciepło, a robactwa ma dużo. Wznosi się wtedy prosto ku niebu i woła: *Bij się Boże! ze mną bij! bij!*

Ale wnet spostrzega, że zgrzeszył lekkomyślnie, więc żałuje swego postępku i zlatuje prosto na ziemię. Wstydzi się tego wobec pracujących rolników, nadrabia więc miną i woła ciszej: *Upadł mi kij! upadł mi kij!*

Pan Bóg się na niego nie gniewa, ale się uśmiecha, jakby to zrobił zbrojny żołnierz, gdyby niemowlę z blaszaną szabelką wzywało go do walki.

Taki jest krótki życiorys skowronka rolnego. Oprócz niego mieszkają u nas i inne jeszcze gatunki skowronków, jak n. p. *Dzierlatka* i *skowronek górniczek* czyli *północny* albo *filistynek*.

Wszystkie te ptaszyny są miłe, pieszczotliwe, ludziom nie wyrządzają żadnej szkody, owszem są *bardzo pożyteczne*, bo tępią w lecie wiele owadów. Z tego powodu zasługują na naszą miłość i opiekę. Nie godzi się więc robić im krzywdy przez wybieranie piskląt z gniazdek, lub chwytanie podrosłych i zamykanie w klatce.

dwunastą, czułem, że mi pot wystąpił na czoło, a gdy po kilkunastu minutach ozwały się szybkie kroki, zerwałem się od stołu.

— Oho! bohater wraca! — zawołał kolega, który był powodem całej awantury. Drzwi się otworzyły rzeczywiście, ale zamiast Jasia wpadł kościelny, którego ustawiliśmy w ogrodzie za murem, aby uważał, co się w trupiarni dziać będzie.

— Panowie źle! — zakrzyknął cały zmięszany. — Słyszałem strzał, potem przeraźliwy krzyk, a teraz cisza.

— Zerwaliśmy się i pobiegli ze świecami do trupiarni. Jaś leżał na ziemi ze sinem obliczem, a przy nim klęczał ów człowiek z trumny w obrzydliwym czechle, potrzymując głowę nieszczęśliwemu memu przyjacielowi.

— Umarł! — zawołał ku nam ów człowiek — zapewne paraliż go ruszył.

— Poczem opowiedział nam, jak się w trupiarni zachował, co ja tu panom powtórzyłem. Wszystko bowiem było ukartowane. Człowiek w trumnie, za grube pieniądze, dał nam się użyć do tej swawoli. Ubrał się w czechło, usmarował twarz i udawał umarłego. Kulę wykręciliśmy nieznacznie z broni Jasia nabijając ją ślepo; kulę zaś daliśmy owemu człowiekowi z poleceniem, aby ją na Jasia rzucił, skoro ten wystrzeli. Że nasz drogi przyjaciel życiem to przypłaci, na myśl nam nie przyszło. Ja sam, który się o niego obawiałem, sądziłem, że najwyżej przestraszy się mocno i uciecze; dlatego też tylko namawiałem go, aby zaniechał wszystkiego. Co się z nami, a mianowicie z tym, który to zajście wywołał, a potem cały projekt ułożył, działo, nie będę wam opowiadał panowie; każdy z was sam sobie odpowie. Ale to raz jeszcze powtarzam, że postępek ten był najgłupszy i najbrzydszy, jaki w długiem życiu popełniłem.

Stary kapitan umilkł i zamyślił się ze smutną powagą. I myśmy milczeli, nawet ten lekkomyślny młodzieniec, który niedawno wybierał się do pobliskiej kostnicy, siedział cicho. Tylko zegar w przyległym salonie stukał jednostajnie i deszcz z płaczliwem wyciem wichru kołatał do okien.

OPOWIADANIE STANISŁAWA
O „PRZODKACH NASZYCH“.

(Ciąg dalszy).

Bartłom. No Stanisławie, przyszliśmy słuchać dalej, co nam opowiadać zacząłeś.

Stanisł. Po śmierci stryjów Popiela i jego tajemniczym zgonie, tłum wielki różnego ludu zgromadził się w około Kruszwicy.

Była to służba zatrutych książąt, był to lud okoliczny, byli to zacniejsi w narodzie. Zgromadzili się z obawy, aby wojewodowie nie wznowili dawnych zamieszek. Ażeby temu zapobiedz, uradzili wybrać króla. Lecz nadaremnie łamali sobie głowy, nie mogli wynaleść człowieka, któryby im się wydał godnym korony. Długo już tak naradzali się razem, więc w Kruszwicy i w całej okolicy zabrakło żywności, głód uczuć się dawał. Wtenczas Polacy byli jeszcze poganami, jeszcze nie znali nauki Chrystusa Pana. Jeden z obrządków słowiańsko-pogańskich wymagał, aby włosy syna, zwłaszcza pierworodnego, obcinano, kiedy syn ten doszedł lat siedmiu. Zwykle na taką uroczystość spraszali rodzice krewnych, aby w ich przytomności obrzęd uroczysty obchodzić. Niedaleko Kruszwicy nad Gopłem mieszkał kmieć zwany Piastem. Miał żonę imieniem Rzepichę i syna Ziemowita, który kończył lat siedm. Piast był kołodziejem i pilnym, pracowitym rolnikiem. Liczna pasieka dostarczała mu miodu, a Rzepicha w porządku utrzymywała chatę i obejście. Jakby świadek szczęścia i spokoju tej rodziny, gnieździł się pod jaworem na dachu bocian. Jak zwyczaj kazał, wyprawił Piast sutą ucztę na postrzyżyny Ziemowita. Zgromadzeni dla obioru króla Polacy, spostrzegli ruch około chaty Piasta, chcieli zobaczyć coby to było. Wysłali z pomiędzy siebie niektórych na zwiady. Gościnny Piast i uprzejma Rzepicha skłonili się wysłańcom wdzięcznie, zasadzili ich za stół i uraczyli jadłem i słodkim napojem. Skoro dowiedziały się rzesze wygłodniałe, że jest u Piasta uczta, zaczęli tłumnie cisnąć się do chaty. Wieść niesie, że dwóch wysłańców nieba jasnowłosych młodzieńców weszło wraz z cisnącym się tłumem. Im to i cudowi nieba, przypisali obecni, że nie brakło jadła w misach na stole Piasta, ani słodkiego napoju we flaszach, choć się u niego cały tłum zgłodniałych uraczył. Po uczcie tłum nasycony usłyszał kogoś mówiącego: Na co nam szukać dalej? To człowiek szczęśliwy, rządny i bogowie go kochają — niech Piast nam będzie królem. Zgoda! Krzyknęła zgraja, niech Piast nam będzie królem i znowu tłumy gromadnie się cisnęły przed chatę Piasta, obwołując go królem. On wzbraniał się czas jakiś, lecz gdy jasnowłosi młodzieńcy objawili mu, że taka jest wola Boga, przyjął koronę.

Bartłom. I szczęśliwe było jego królowanie?

Stanisł. Jak we własnem obejściu i roli, tak potem jako król w kraju rządnym był Piast. Bóg przedłużył życie jego do stu dwudziestu lat, a panował lat pięćdziesiąt. Swoją sukmanę, pług i inne narzędzie rolnicze kazał umieścić około tronu, aby nie zapomnieć z jakiego stanu wynieść go podobało się bogom.

Bartłom. To doprawdy wtedy szanowano i wieśniaków. Po-

Skowronek stworzony jest do wolności, to też w klatce czuje bardzo swą niedolę, i wtedy śpiew jego cichy, smętny, jak śpiew więźnia z myślą o wolności.

Kochajmy więc sami tę ptaszynę i starajmy się, aby wszyscy także ją kochali.

Kronika kościelna.

— **Z Rzymu.** Ojciec św. przesłał księciu Czarnogóry księgę modlitewną drukowaną w Rzymie w języku starosłowiańskim. Podarunek ten świadczy, że Ojciec św. poważa i czci język słowiański, i że chętnem sercem zezwala na to, aby w języku tym, z którego i nasz język polski powstał, odprawiali Mszę św. w tych okolicach, gdzie lud do liturgii słowiańskiej przywykł. Solą w oku jest dla Niemców ta względność dla języka starosłowiańskiego u Ojca św. Kościół katolicki nie zezwala na odprawianie Mszy św. w języku niemieckim, którym się tylko lutrzy w swoim nabożeństwie posługują. Natomiast język starosłowiański dostąpił tej czci, że nim wolno kapłanowi posługiwać się przy świętej Ofierze. — *W szpitalu św. Ducha* odebrano zakonnicom pieczę nad chorymi zostawiając im domowe zajęcie. Lecz świeccy dozorcy, chorych biją i katują i prześladują biedne zakonnice, jednej nawet rękę złamano, aby je zmusić, iżby same sobie odeszły. — Na mocy włoskiego prawa z r. 1890, kasującego dobroczynne zakłady, zamknął temi czasy masoński rząd włoski dom fundowany dla pielgrzymów z całego świata, i rozumie się zabrał jego majątek. Ponieważ na ów dom przytułku złożyły fundusze różne kraje, przeto nie był on ściśle włoskim ale międzynarodowym; rząd przeto kasując go dopuścił się poprostu najzwyklejszej grabieży. Niektóre kraje, jak Hiszpania, Portugalia i Bawarya wyraziły już z powodu tej grabieży swoje niezadowolenie; to samo powinna zrobić i Austrya.

— **Nowy klasztor.** W dniu 23 lipca b. r. odbyła się rzewna ceremonia poświęcenia klasztoru PP. Dominikanek w Ołpinach, w Jasielskiem, który wdowa po ś. p. Karolu Rogawskim wystawiła i uposażyła na cztery panny zakonne.

— **Nowe ruskie seminarya duchowne.** Cesarz postanowieniem z dnia 13 lipca b. r. zarządził zniesienie ruskiego seminaryum duchownego w Wiedniu, natomiast zaś oprócz istniejącego seminaryum we Lwowie, utworzone będzie drugie osobne seminaryum w Przemyślu, a trzecie w Stanisławowie.

— **Z pod Moskala.** Niedawno temu oczekiwał na dworcu w Częstochowie sam gubernator piotrkowski pielgrzymów przybywających koleją do miejsca cudownego. Nie wolno było się nikomu ruszyć, aż się urzędnicy każdego wypytali zkąd przybywa. Wszystkich pochodzących z Podlasia odesłano następnie natychmiast do Warszawy, ponieważ przypuszczano, że mogą myć między nimi unici, a tym nie pozwoliliby pod żadnym warunkiem nawiedzić kościół cudownej Matki Boskiej na Jasnejgórze. — Ksiądz Piotr Endryk, Proboszcz parafii hanuszyskiej, został z rozkazu Orżewskiego, jenerał-gubernatora w Wilnie, wywieziony na 5 lat w głąb Rosyi do gubernii wołogłodzkiej.

— **Cerkwie moskiewskie.** Dwie cerkwie prawosławne zbudowane zostaną w Wiedniu, na co rząd moskiewski przeznacza 400.000 rubli. Jedna stanie w pobliżu ambasady rosyjskiej, druga na głównym cmentarzu.

— **Ks. Kardynał Kopp z Wrocławia** wzywa podwładne mu duchowieństwo, żeby wcześnie porobiło testamenty. Zdarzyło się bowiem niejednokrotnie, że księża zmarli bez testamentu, co było następnie przyczyną wielu niedogodności. Księża dziekani mają się przy wizytacyach przekonać, czy wezwaniu temu stało się zadość. Najlepiej wyjdzie na tem ten, co nic nie ma, bo testamentu nie potrzebuje.

— **Narady Biskupów** katolickich pod Prusakiem odbędą się tego roku 22 sierpnia.

— **W Amsterdamie** znajduje się około 200 rodzin polskich. Przez lat parę należały do kościoła niemieckiego i dwa razy do roku sprowadzały księdza polskiego. Roku przeszłęgo Niemcy zażądali opłaty kościelnej od Polaków za uczęszczanie i należenie do ich kościoła. Polacy tamtejsi pomyśleli przeto o własnym kościele i dzięki poradom ks. Józefa Deraszewskiego z Schenectady urządzili kaplicę, zakupili grunt prawie w środku miasta i pod jesień rozpoczną budowę swego kościoła. Poprzedniego miesiąca odbyło się poświęcenie nowej chorągwi Bractwa św. Stanisława, Biskupa krakowskiego.

Francya. Na rozkaz ministra spraw wewnętrznych prefekci w Berdo i w Tuluz pozamykali tamtejsze klasztory OO. Kapucynów na mocy prawa o zakonach i kongregacyach. Oj nie dobrze dzieje się w tej Francyi, która niegdyś była tak Kościołowi św. oddaną, iż jej królowie nosili przydomek »najwierniejszych chrześcijan«.

— **Saksonia.** Syn księcia Jerzego, który prawdopodobnie po zgonie obecnego, bezdzietnego króla saskiego zostanie królem saskim, książę Maks, wstąpił do klasztoru w Eichstädt. Książę Maks, jest doktorem prawa i dotąd służył w wojsku jako porucznik w regimencie grenadyerskim. Krok ten księcia, świadczący o religijności, przypisują ogólnie wpływowi Biskupa drezdeńskiego, ks. Wahla.

Nowiny ze świata.

— **Podróż Cesarza Franciszka Józefa** do Galicyi objęta jest następującym programem: W nocy z 2 na 3 września o godzinie 2 m. 30 przybędzie Najj. Pan osobnym pociągiem dworskim z Wiednia na dworzec kolejowy krakowski, gdzie z powodu pory nocnej nie będzie osobnego przyjęcia. Dnia 3 września o godzinie 7 m. 30 rano przybędzie Najj. Pan do Jarosławia, gdzie oczekiwać go będzie JE. p. Namiestnik hr. Badeni.

Tam też odbędzie się uroczyste przyjęcie, w którem, oprócz burmistrza tamtejszego wezmą udział przedstawiciele wszystkich urzędów i korporacyj, a między nimi i Rada powiatowa. W Jarosławiu zabawi Najj. Pan do dnia 5 września i zamieszka w tamtejszych koszarach. Dnia 5 września przed południem wyruszy Najj. Pan na ćwiczenia wojskowe do Krakowca i zabawi do dnia 8 września, gdzie zamieszka we dworze w Gnojnicach, poczem tego samego dnia rano ogoło godziny 10 pojedzie do Przemyśla, gdzie się odbędzie uroczyste przyjęcie, jak w Ja-

rosławiu. Z Przemyśla tego samego dnia wieczorem nastąpi odjazd Najj. Pana do Węgier przez Radymno i Ławoczno.

— **Piękna myśl.** W roku przyszłym (1894) przypada setna rocznica powstania Kościuszkowskiego, która niewątpliwie uroczyście w całym naszym kraju będzie obchodzona. Spodziewać się można, pisze jeden z Czytelników *N. Reformy*, że powstaną rozmaite fundacye, mające głównie na celu podniesienie oświaty naszego ludu. Wiadomo wszystkim, jak w owem powstaniu dzielnie się odznaczył chłop Bartosz Głowacki. Należałoby więc uczcić pamięć i tego także bohatera przez utworzenie stypendyum jego imienia dla dzieci włościan, oprócz tego zaś należałoby wznieść mu jaki pomnik wspaniały, a najlepiej usypać kopiec, aby lud widział, że naród polski umie czcić pamięć dobrych swych synów, bez względu na to, czy oni w pałacach rodzeni, czy w biednej chacie wieśniaczej. Czyżby to nie piękny był widok, gdyby pan, mieszczanin i chłop wspólnie sypali mogiłę temu, który na pierwsze hasło o wolność opuścił żonę i dzieci, i w kosę zbrojny poszedł gromić Moskala, a imię polskiego wieśniaka wielką okrył chwałą!

— **Nowa austryacka ustawa karna.** Obowiązujące dotychczas w Austryi ustawy karne pochodzą z dawniejszych czasów. Że zaś wymagania i poglądy czasu się zmieniły, przeto rząd wypracował projekt nowych ustaw karnych, który to projekt dany będzie pod obrady Rady państwa w jesieni tego roku. Z projektu tego wymieniamy główniejsze punkta. I tak: zaprowadzony będzie nowy rodzaj kary, a mianowicie tak zwane: *więzienie stanu* dla przestępców politycznych. Kara ta nie będzie hańbiącą. Drugim rodzajem kary będzie *więzienie,* które też nie pociągnie za sobą utraty praw obywatelskich. Najcięższym rodzajem więzienia będzie: *kaźń* (Zuchthaus), która to kara, jako hańbiąca, ograniczona będzie tylko do ciężkich przestępstw. Określono też bliżej i dokładniej co to jest *przestępstwo polityczne,* zdrada stanu i t. d., również co to jest przestępstwo *zakłócenia spokoju publicznego* i wzbudzania nienawiści i pogardy względem władz publicznych. *Pojedynek* nie zostanie, niestety, zakazany ani nie będzie karany, chyba wtedy, gdyby były przekroczone reguły pojedynku. Za fałszywe zeznania i *krzywoprzysięstwo,* oraz ofiarowanie się do spełnienia tych przestępstw podwyższone będą kary. Wszelkie publicznie wypowiedziane *bluźnierstwo przeciw Bogu* i pogarda dla religii, podlegać będzie karze surowszej jak dotychczas. Wolno jednak będzie filozofować o religii, ale bez ubliżenia dla niej i jej wyznawców. Za *przekupstwo wyborcze* będzie wyznaczona kara aż do 2 lat więzienia i grzywnę 2000 złr. Jestto zupełnie nowa ustawa. *Cześć osobista* ma mieć, według nowych ustaw, większą obronę niż dotychczas przeciw publicznym napaściom. Podpadać też będzie karze *rozszerzanie publiczne ubliżających wiadomości, dotyczących życia prywatnego i rodzinnego.* Przepisu tego, już teraz lękają się te gazety, które lubują się w rozsiewaniu plotek i skandalicznych wieści.

Do tego projektu powrócimy jeszcze, gdy się nad nim naradzać będzie Rada państwa.

— **Wywóz włościan** z Pokucia do Rumunii. Ponieważ w górzystych stronach Pokucia (w Kołomyjskiem) panuje w zimie regularnie głód, więc lichwiarze pożyczają chłopom kukurudzę i gotówkę, a potem werbują między niemi ochotników do robót w Rumunii. Jak wykazało śledztwo sądowe, żydzi w haniebny sposób wyzyskują wtedy chłopów,

odbierają sobie z procentem pożyczoną gotówkę, należytość za kukurudzę, a przytem dostają za każdego chłopa po 35 złr. — tak, że chłop napracuje się w najgorszej nędzy i w końcu po obrachunku prawie nic nie dostanie, lub nader małą kwotę.

— **Ohydny zabobon.** Czytamy w *Pszczółce:* W Myszynie, w powiecie kołomyjskim, kilkunastu włościan siedząc przy kieliszku, zastanawiali się nad przyczyną długotrwałych w tym roku wiatrów i zimna. Otóż nabrali przekonania, że przyczyną tej klęski jest zmarły niedawno 83-letni starzec Mikołaj Obuszak, który niezawodnie był upiorem. Rada w radę postanowili otworzyć grób Obuszaka i przekonać się czy upiór nie żyje, odciąć mu głowę, wbić w jego serce osikowy kół — i tym sposobem zażegnać. Co uradzili to i wykonali w nocy, dosłownie, jak to stwierdziła komisya sądowa. Winnych pociągnięto do odpowiedzialności za naruszenie cmentarza. — Kiedyż ludzie będą mieć oświatę?

— **Nieszczęśliwy wypadek** zdarzył się temi dniami w Zbarażu. Powinien on być dla rodziców przestrogą, aby gdzie są dzieci, nie zostawiali broni palnej bez zamknięcia. Dzieci tamtejszego inspektora podatkowego pana Ł., oraz wdowy po lekarzu pani W., zobaczywszy w niezamkniętej szufladzie rewolwer, a niewiedząc, że był nabity, zabrały go z domu i poszły się bawić za miasto. Między bawiące się dzieci, zamieszał się ubogi chłopczyk, niejaki Tokarz, tego obrali sobie chłopcy za cel. Mały Ł. z żartów wymierzył do Tokarza. Rozległ się strzał i nieszczęśliwe dziecko padło na ziemię zalane krwią. Przeniesiony do szpitala, mimo pomocy lekarskiej, skonał biedny chłopiec po 36-godzinnych męczarniach.

— **Odroczenie rozprawy.** Dnia 31 lipca b. r. miała się w sądzie karnym krakowskim odbyć rozprawa przeciw 80 włościanom i 28 włościankom ze wsi Poznachowice w powiecie bocheńskim. Oskarżono ich o zbrodnię gwałtu publicznego, bo w roku zeszłym nie wpuścili do wsi komisyi, która z powodu cholery chciała w gminie zaprowadzić odpowiednie zarządzenia ochronne. Obwinieni wnieśli prośbę o odroczenie rozprawy z powodu pilnych obecnie robót w polu. Sąd przychylił się do tej prośby i rozprawę odroczył. Rozprawa odbędzie się prawdopodobnie w październiku b. r.

— **Burze i grady.** Z powiatu mościskiego donoszą, że w niedzielę dnia 23 lipca, w tym samym czasie, gdy oberwanie chmur nad Lwowem zniszczyło niebrukowane ulice miasta, nawiedził szalony orkan także powiat mościski, a towarzyszący mu silny grad, wielkości orzecha laskowego, zniszczył do szczętu plony polne w Krukienicach, Chliplach, Sudkowicach, Wiszence, Podliskach, Samnikach, Czyżowicach, Mysticzach, Wołczyszczowicach i Wołoskowie. Siła orkanu była tak wielka, że w Sudkowicach stare drzewa, w Podliskach zaś budynki obaliła.

— **Smierć od pioruna.** Podczas szalejącej burzy w Głogoszewie pod Myślenicami w dniu 28 lipca uderzył piorun we włościankę niewiadomego nazwiska, stojącą pod chatą i zabił ją na miejscu. Następnie wpadł piorun do wnętrza chaty, nie zrządzając jednak większej szkody.

— **Łąki i pastwiska** w powiecie krakowskim i wielickim, po ostatnich ulewnych deszczach pokryły się piękną i bujną zielenią. Gospodarze są z tego wielce zadowoleni, gdyż rokują sobie obfity drugi pokos.

— **Walka z lichwą.** Starostwo w Rawie Ruskiej doniosło do Namiestnictwa, że w powiecie sądowym uhnowskim grasują lichwiarze ży-

dowscy i prowadzą wśród włościan operacye na wielką skalę. Wskutek tego w połowie maja wyjechała ze Lwowa specyalna komisya śledcza w Uhnowskie, gdzie przez 2 miesiące przesłuchiwała pokrzywdzonych włościan prawie we wszystkich gminach. Śledztwo dało znakomite wyniki. Protokóły spisywane na miejscu, obejmują przeszło 1500 arkuszy papieru. Chłopi zeznawali z początku bardzo obszernie i z ochotą o wszystkich żydowskich sprawkach, później widocznie pod naciskiem lichwiarzy, zeznania ich stały się oględne i bardzo umiarkowane. Rozprawa odbędzie się we Lwowie.

— **Mieszkańcy wsi Terszakowa** pod Komarnem nad Dniestrem, nie mogąc się doczekać obiecywanej tak szumnie regulacyi Dniestru, chcą sobie sami »uregulować« i ubezpieczyć się od Dniestru — mianowicie wszyscy członkowie gminy postanowili porzucić swoją wieś. Obecnie układają się oni z hr. Lanckorońskim, aby im odstąpił grunta wywyższone nad Dniestrem w Kołodrubach, gdzie chcą wieś swoją odbudować, tudzież względem zamiany pól i sianożęci.

— **Wiejski znachor** w Boratynie udzielił pewnemu kmiotkowi recepty na lekarstwo służyć mające dla bydła na poprawienie apetytu. Wierzący znachorom chłopek, sporządził leki wedle przepisu — i pozbył się dwóch krów, które natychmiast po użyciu ich padły.

— **Z życiem zaledwie uciekł** przed zemstą bocianów pewien parobek w C..., który za poradą wioskowej lekarki ściągnął młode bocianie z gniazda, aby tłuszcz zeń wytopić, który na porost wąsów ma być skutecznym. Bociany tak poturbowały niecierpliwie zarostu wyglądającego młodziana, że był cały krwią zbroczony, a o własnej sile niemógł się na nogach utrzymać.

— **Nieszczęśliwy wypadek.** Właściciel dóbr Płotycza, obok Zborowa, p. Andrzej Cywiński, podczas jazdy na czółnie z dwoma parobkami po stawie dnia 22 lipca b. r., wskutek gwałtownego wiatru i ulewnego deszczu, porwany został przez silny prąd i utonął. Z nim razem znaleźli śmierć we falach także obaj parobcy.

— **Zemsta wilczycy.** Na Ukrainie, w powiedzie białogrodzkim, majętności lasowej »Szebekin« upolowano ogromnych rozmiarów wilczycę, która z zemsty za zabranie i ubicie jej dwojga młodych wilcząt, odszukała pomieszkanie sprawcy-leśnika i podczas jego nieobecności zagryzła mu 14-letnią córkę i trzyletnie dziecko.

— **Cholera.** *Gazeta Lwowska* doniosła dnia 7 sierpnia b. r., że według urzędowych wiadomości cholera grasująca na Węgrzech *pojawiła się już na granicy galicyjskiej,* pomiędzy robotnikami pracującymi przy budowie kolei Sziget-Woronienka. Namiestnictwo lwowskie wysłało już do Jabłonicy lekarza. Również lekarz Dr Lachowicz bawi od 2 sierpnia w powiecie nadwórniańskim, aby pilnować wykonania odpowiednich zarządzeń. Oprócz Dra Lachowicza wysłało Namiestnictwo do powiatu nadwórniańskiego jeszcze trzech lekarzy, a Towarzystwo »Czerwonego krzyża« z Wiednia, wysłało tam 3 przenośne baraki z urządzeniem szpitalnem. — Od 25 czerwca do 1 lipca b. r. zachorowało na cholerę w Rosyi (w sześciu guberniach) 309 osób, z czego wyzdrowiało 178 osób, a zmarło 90. Razem od czasu pojawienia się cholery w gubernii podolskiej do dnia 2 lipca b. r. zachorowało 9463 osób, wyzdrowiało 6112 osób, zmarło 3306, pozostało chorych 225. — Ów człowiek, który zmarł nagle w Sanoku, nie umarł na cholerę, jak wy-

kazały później badania lekarskie. — Donoszą z Rzymu, że cholera ukazała się też w północnych Włoszech i wzmaga się, chociaż zwolna.

— **Dowcipny adwokat.** We Frydku, na Szląsku austryackim, stawiał piec u pewnego adwokata jakiś socyalista z pomocnikiem. Cały dzień przy robocie wymyślał ów murarz socyalista, że na świecie niema równości, że socyaliści zmienią świat, a potem dopiero będzie porządek, równość i braterstwo. Gdy nadszedł wieczór, adwokat, który przysłuchiwał się tej gadaninie cały dzień, mając wypłacać za robotę, mówi do socyalisty: »tyleś mi dziś nagadał o równości, że się mi to bardzo spodobało. Miałem ci zapłacić 10 złr. razem z pomocnikiem, ale ponieważ pragniesz równości, więc dzielę was równo: ty dostaniesz 5 reńskich, a pomocnik też 5 złr.« Socyalista strasznie się na to pogniewał i dowodził, że robota jego więcej warta niż pomocnika i przy wypłacie nie chciał słyszeć o równości. Pokazuje się więc na każdym kroku, że socyaliści tylko w gębie mają równość, i że co innego mówią, a czego innego pragną.

— **Przyjazny głos.** Miesięczne pismo niemieckie *Preussische Jahrbücher* (»Pruskie Roczniki«) zawiera w lipcowym zeszycie artykuł profesora Hansa Delbrüka, zasługujący na wzmiankę z tego względu, że ów profesor pisząc o wzroście socyalizmu w Niemczech, i wogóle o wewnętrznych politycznych stosunkach niemieckich, dotyka także polityki pruskiej względem Polaków, będących pod panowaniem pruskiem. Profesor wspomniany potępia stanowczo dotychczasową politykę rządu dążącą do tego, aby dwoma milionami poddanych (t. j. Polaków), będących odłamem wielkiego i dumnego narodu, rządzić zapomocą środków dokuczliwych, lub chcieć ich zmienić na Niemców, i że ta praktyka zmienioną być powinna.

— **Klęski w Rosyi.** Piszą z Petersburga, że sybirska zaraza na bydło, która już się zdawała wygasłą w europejskich częściach caratu, szerzy się na nowo w południowej Rosyi w sposób bardzo dotkliwy. — Zbiory, które się pięknie zapowiadały, niszczy szarańcza pospołu z innemi owadami, które się dzięki dwom latom gorącym wielce rozmnożyły, zwłaszcza w gubernii orelskiej i czernichowskiej a najbardziej w połtawskiej.

— **Austrya.** Rząd rosyjski przesłał Cesarzowi austryackiemu oświadczenie, w którem mu donosi, że wobec Austryi nie zaprowadza wysokiej taryfy, jak to uczynił wobec Niemiec; dalej jest nawet gotów z Austryą zawrzeć ugodę, na mocy której cło na wyroby austryackie będzie nadzwyczał zniżone. Narady w tej sprawie już się podobno rozpoczęły i zapowiadają dla Austryi wielkie korzyści.

— **Śmierć przez spalenie.** W Wiedniu spaliła się dnia 28 lipca b. r. Marya Blaas, służąca. Chciała ona przez nalanie nafty do pieca podniecić płomień pod kuchnią. Nafta we flaszce eksplodowała, ubranie nieszczęśliwej zajęło się i zanim przybieżono na jej ratunek, Blaasówna padła ofiarą płomieni.

— **Pomyślne wieści.** Donoszą z Berlina, że minister oświaty wysłał do inspektorów szkół okólnik z zapytaniem, w jaki sposób możnaby najwłaściwiej niebawem zaprowadzić w szkołach język polski. Czyby to było początkiem przyrzeczonego Polakom w Prusiech zadosyćuczynienin ich narodowym życzeniom? Inne pisma odwołują tę wiadomość.

— **W parlamencie niemieckim** zasiada obecnie luteranów 208, katolików 137, żydów 4, z których 3 należy do stronnictwa socyalistów. W stronnictwie tem t. j. socyalistycznem znajduje się 27 *bezwyznaniowców,* t. j. ludzi nie wyznających żadnej religii. Posłów szlacheckiego pochodzenia jest 102. Reprezentowane są wszystkie zawody i stany. Są tam bowiem i prości włościanie, i prawnicy, i dziennikarze, wojskowi i księża. Księży jest 36.

Rozmaitości.

Spowiedź wisielca. Niedawno temu powiesił się w Warszawie niejaki M... którego jednak oderżnięto od stryczka w stanie już nieprzytomnym, ale do życia przywrócono. Człowiek ten uratowany od śmierci zeznał teraz przed pewnym gazeciarzem, że o samobójstwie zaczął myśleć niedawno, ale przedtem zapomniał o Bogu i nie chodził do kościoła. Zanim się powiesił, upił się, aby nabrać odwagi, a jednak kiedy miał już głowę założyć w pętlicę, otrzeźwił się, jakby go kto zimną wodą oblał. Pobiegł więc ponownie po wódkę i upił się po raz drugi. »Wahałem się jeszcze przez chwilę« — mówił dalej ów M. — »ale wskoczyłem na stołek, włożyłem głowę w pętlę i odrzuciłem stołek nogą... Straszna chwila! Nie daj jej Boże nikomu przeżyć! Ból nie do wytrzymania ścisnął mi gardło, a odurzenie znikło po raz drugi. Życie zrobiło mi się znów tak drogiem, że choćby największe znowu cierpieć męczarnie, byle żyć... W oczach się wszystko zakołowało, ból stawał się coraz bardziej nie do zniesienia... Chwytałem rękami sznur nad głową, żeby odetchnąć choć raz jeden... Napróżno, ściska coraz silniej... Nic już nie widzę, myśli się plączą, przestają czuć i pojmować i... budzę się w pokoju szpitalnym. Ból w gardle czuję, wszystko pozostałe jednak wydaje mi się snem tylko...

— I to wszystko?

— Nie inaczej. Jeżeli chcemy umrzeć, to tylko dlatego, że nie znamy całej okropności śmierci«...

Od Wydawnictwa.

Jeszcze spora liczba Szan. Abonentów nie uiściła przedpłaty za obecne II-gie półrocze. Jestto wielki brak wyrozumiałości, bo każdy przecież powinien się dorozumieć, że pismo istnieć nie może, ani wychodzić należycie w swoim czasie, jeżeli Czytelnicy nie płacą regularnie i z góry.

Nowy Dzwonek nie ma przecież — jak wiadomo — żadnych funduszów ani subwencyi, i opiera się tylko na prenumeracie, więc jasna rzecz, iż gdy Abonenci zalegają z prenumeratą, to tem samem podkopują byt pisma. Kto nie chce płacić, nie powinien brać pisma, a kto je bierze, tem samem już w sumieniu swem obowiązany jest płacić za nie, inaczej dopuszcza się krzywdy wobec wydawcy, a każda krzywda jest grzechem.

Prosimy więc wszystkich, którzy zalegają z przedpłatą, aby o tem pamiętając, dłużej już nie zwlekali z nadesłaniem tejże.

Wykaz ofiar

złożonych na restauracyę kościoła OO. Bernardynów w Leżajsku:

Najprzew. ks. Biskup Solecki 50 złr.; p. Peszkowski ze Skawiny 25 złr.; ks. Dr. Bilczewski 20 złr.; Tercyarze św. Franciszka z Tarnopola 2 złr.; O. R. W. 20 marek; K. Cieśliński z Now. Sącza 5 złr.; Tomasz Garlicki z Brzeżan 5 złr.; Katarzyna Heindl ze Lwowa 5 złr.; Emilia Grzywaczewska ze Lwowa 3 złr.; N. N. z Bolęcina 5 złr.; ks. Kisielewicz z Ameryki 10 złr.; Marya Uzarska z Krakowa 1 złr.; ks. L. T. Krakowa 1 złr.; M. M. z Dąbrowicy 100 złr.; N. N. z Gniewczyny 90 złr.; Roch Krośnieński z Krakowa 1 złr.; Kamil Kublin ze Lwowa 1 złr.; Helena Wernerowa, polecając dzieci opiece Matki Cudownej 1 złr.; Walenty Kozioł 6 złr.; N. N. 50 złr.; J. M. 70 złr.; Zofia Acht z Chocimierza 1 złr.

Podając do publicznej wiadomości łaskawie złożone ofiary, czuje się Konwent zobowiązanym przesłać P. T. Dobrodziejom najserdeczniejsze podziękowanie, upraszając o dalszą pomoc w zamierzonem, a tak trudnem dziele dla chwały Bożej i czci Najświętszej Panny Maryi podjętem.

Ciąg dalszy nastąpi.

Ks. Ł. Dankiewicz,
Gwardyan OO. Bernardynów w Leżajsku.

Ceny zboża w Krakowie.

(Z targu na Kleparzu dnia 8 sierpnia 1893 r.).

Płacono za pszenicę białą 8 złr. 80 ct. do 9 złr. — ct., za czerwoną 8 złr. 85 ct. do 9 złr. 10 ct., za żółtą 8 złr. 80 ct. do 9 złr. 10 ct. za żyto 7 złr. 10 ct. do 7 złr. 50 ct., jęczmień browarny 6 złr. 50 ct. do 7 złr. — ct., za jęczmień na kaszę 6 złr. 10 ct. do 6 złr. 30 ct., owies 7 złr. 15 ct. do 7 złr. 40 ct., pszenica nowa 8 złr. 70 ct. do 9 złr. — ct., żyto nowe 6 złr. 80 ct. do 7 złr. — ct., rzepak 13 złr. 50 ct. do 14 złr. Wszystko za 100 kilogr.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.